

Węgajty – impresje

Grzegorz Kumorowicz

Rozpoczęła się wieczorna podróż samochodem w zapadającą lutową noc, w gęstniejącą ciemność, którą usiłował rozświetlić zamglony księżyc. Już w Jonkowie zrobiło się ślisko, a za plecami pozostał opiekuńczy klosz dużego miasta. Mimo ocieplenia była po prostu zima. Niewiele brakowało do zabłądzenia, ale Nyska, z której wysypała się grupa młodych obładowanych plecakami i bębenkami, okazała się dobrym drogowskazem. Zanurzenie w wąską, zaśnieżoną drogę pełną niezgłębianych kałuż, to był desperacki i ryzykowny skok w nieznane. Stary zdezelowany grat buksując po oblodzonych wybojach wdierał się pracowicie pod górkę, strasząc cały czas ugrzęźnięciem pośrodku lodowatej mazi. W świetle reflektorów widać było tylko wąski tunel wydrążony w brudnym śniegu i ciemną pustą przestrzeń wokół. Od czasu do czasu uskakiwały na boki grupki młodzieży wytrwale dążącej gdzieś przed siebie w mrok. Plecaki, ubrania i charakterystyczny wygląd tych pielgrzymów podtrzymywały na duchu. Może była to ulga, że jechaliśmy w dobrym kierunku, a może i radość z widoku normalnych ludzi — gatunku coraz radszego, ale jednak nie ginącego? Był też żal wywołany izolującym działaniem blaszanego pudła samochodu i niemalże namacalne wycucie otaczającej nas przestrzeni czasu. Czy musi on tak nieubłaganie dzielić nawet wędrujących obok siebie w tym samym kierunku?

Na rozstajach trzeba było trochę popchnąć słabnący pojazd, ale już bez strachu, bo z jednej strony pojawiły się przyjazne światła innego samochodu, a po lewej zamajaczyły czerwone lampki malucha wskazujące kierunek. Wyjątkowy ruch jak na takie bezdroża! A może my, niewolnicy betonu, po prostu nie zdajemy sobie sprawy, że oś, wokół której kręci się świat, wcale nie tkwi w asfalcie... Siła, która skłoniła do nocnej podróży po tych wertepach, musiała być ogromna. Dlaczego tam wyruszyliśmy, czego pragniemy? Czy tylko zabawy i wrażeń artystycznych, czy też przynależności do grupy, samoidentyfikacji, porozumienia, a może jest to ucieczka przed straszliwą samotnością?

Słaba żarówka majacząca przed wejściem do ciemnej bryły budynku jak magnes przyciągała wszystkich wtajemniczonych i coś obiecywała. Ciepło

rozgrzanego pieca, ciepło serdecznych gospodarzy, nierzeczywista wzajemna życzliwość wszystkich, tworzyły świat nierealny. Co zrobić, żeby trwał wiecznie? Co trzeba oddać ze swego dotychczasowego życia, jaką cenę zapłacić za wieczność takiego trwania? Fotografie na ścianach, blaszany bębenek pod sufitem i Günter Grass przypominały o intelektualnych korzeniach tego miejsca, a kolorowe pejzaże, marznące gdzieś obok, o manowcach ludzkiego rozumu... Dla wszystkich jednak było tu miejsce.

Nagle skończyła się chronologia, cały czas i wszystkie miejsca były równocześnie. Ucieczki od niechcianej ziemi, podróże do tych punktów, wokół których — zdawało się — krąży nasza tożsamość: do Warszawy, a po coraz większych rozczarowaniach, do Krakowa i Galicji. Przed oczami rozwijał się film, w którym za plecami pozostawało obce, wrogo osaczające otoczenie, a wyłaniał się rodzinny świat. Mój, chociaż niepoznany, ojcowizna, która tkwiła poza widnokregiem dotychczasowego życia, ukochana na kredyt, akceptowana z góry i bezkrytycznie. Opadło to wszystko nagle i omotało jak sieć. Porwało w kotłownię oszołamiających obrazów i wspomnień otulone transem muzycznym. Tłem stały się echa niosące ściśnięte gardło i szybko bijące serce po stepach ukraińskich, owładnęła radość rozmodlonych tańcem chasydów, a przestrzeń zacieśniła się do wnętrza karczmy wypełnionej oszalałymi oberkami. Całe obejście, chałupa i roztańczona stodoła wirowały gdzieś na rozległych i nieskończonych przestrzeniach wielonarodowej Rzeczypospolitej. Strzępy rozmów, jak u Wyspiańskiego, ale już bez Chińczyków, krążyły wokół kusząc ciepłem serdecznego porozumienia. Znienacka wynurzyły się z nich znajome, przyspieszające krążenie krwi nazwy: Beskid, Gorlice, Bielanka, Leszczyny...

Przeciskając się przez mroki niepamięci, powoli wyostrzył się obraz szalonej podróży luksusowym wówczas Polonezem, brawurowo gnającym po ostrych zakrętach wąskiej szosy rozwijającej się pomiędzy ukochanymi górami. Powolne zanurzanie w inny świat było — tak jak i teraz — ogromnie sugestywne. U kresu czekała wieś niezwykła, leżąca przy kamienistej drodze, będącej od czasu do czasu dnem rwącego strumienia. Po prawej stronie wyboistego wąwozu, ledwie widoczne zza drzew i krzaków, wyłoniły się banie cerkwi: niegdyś łemkowskiej, później niczyjej, a jeszcze później prawosławnej, ale opuszczonej przez pasterza. Owieczki na szczęście nie rozproszyły się i wiernie wówczas strzegły świątyni Pańskiej. Aby do niej wejść należało mieć odpowiednie dokumenty i dowód osobisty.

Budowla typu północno-zachodniego, wariant młodszy, wzniesiona zapewne 1835, odnawiana... trójdzielna... wieża... o ścianach... dachy... hełm... na nadprożu nieczytelny napis i data. Wszystko nieczytelne dla niewrażliwych i nie umiejących czytać takich miejsc. Pusta płaszczyzna po cmentarzu z dwoma, trzema nowymi grobami, nie pozwalała zapomnieć, że przejście na drugą stronę nie chroni przed upływem naszego czasu.

W pobliskich chaszczach zwalony Chrystus nie miał już siły cierpieć dla naszego zbawienia. Obojętność kamiennej figury wobec losów otaczającego świata niepokoiła, ale może to była tylko obojętność człowieka? Tak więc w wirze beskidzko-pruskim pojawiła się nagle niezłomna decyzja: trzeba ruszyć w podróż prawdziwą. Za miesiąc, za kwartał, ale koniecznie! Sprawdzić przecież należy, czy po blisko dziesięciu latach Ukrzyżowany znowu otoczył opieką wędrowców, i dolać do szklanego słoika wody dla ciągle świeżych polnych kwiatów u Jego stóp. Może uda się jeszcze pokłonić patronowi, świętemu Łukaszowi i podpatrzyć tajemnicę ikonostasu przez niedomknięte diakońskie wrota?

Powrót do tak zwanej rzeczywistości sprawił, że po jakimś czasie zaatakowały sceptyczne znaki zapytania. Czy to wszystko nie było zbyt sentymentalne? Może trzeba trochę racjonalizmu i oczyszczenia zawilego obrazu? A może, jak przystało na wiek dwudziesty, po prostu z niejasności i nieokreśloności zrobić cnotę? Spekulacja wzięła górę. Zaczęła powoli rosnać wątpliwość, czy jest to pisanie o tym, co naprawdę chce się powiedzieć? Może ta chwila egzaltacji to oszustwo? Próba ucieczki przed samotnością? Kto to zechce zrozumieć? Czy tak być musi? Czy trzeba uciekać? Przed kim? Przed ludźmi, Bogiem, przed sobą... A może po prostu chodzi tylko o pełny brzuch i święty spokój? Co na to konfesjonał? Dlaczego tu tyle pytań? Czy węgajcki ładunek okazał się jałowy?

Kolejna podróż w to magiczne miejsce, ale już w roli wtajemniczonego, który już wszystko wie. Przecież cywilizowany człowiek potrafi opisać i uporządkować otaczający świat, a wszystko jest łatwe do zaszufładowania. W takim wspaniałym ładzie żyje się doskonale, trzeba tylko trochę przymknąć oczy i zapatrzyć się z samozadowoleniem w siebie.

Dojazd na miejsce po rutynowej podróży znajomą drogą gwałtownie został przerwany, gdy nagle z nadjeżdżającego fiata dotarła wiadomość, że trzeba zawrócić do remizy w środku wsi. Zapachniało to strasznym banałem, wyśmianym przez wszystkich miastowych w czasach, gdy prawdziwa kultura musiała być w centrum, najlepiej w Stolicy... Do zaakceptowania były jeszcze inteligenckie fanaberie w miejscach specjalnych, ale remiza? Jednak obraz, który wypłynął z półmroku przed oczy, oszołomił i poraził. Z niepozornego budyneczku, rozświetlanego jedynie słabymi blaskami rozpalonego ledwie co ogniska, grupa czarnych sylwetek wypychała właśnie... wóz strażacki. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że był to pojazd stary, a jego archaiczny kształt popychany przez wygięte wysiłkiem postacie, natychmiast przeniósł całe otoczenie w zupełnie inny świat. To był początek spektaklu, który nie miał swego reżysera, to się działo naprawdę w nierzeczywistej realności, to nie była gra, tylko prawda!

Wóz był nienowyy, lecz z muzealnością tak naprawdę nie miał wiele wspólnego. Stał się jednak początkiem kolejnej podróży w nową krainę



fot. Grzegorz Kumorowicz

o nieokreślonych kształtach, nieznanym czasie, dziwnej przestrzeni. Już nie można było jej zlokalizować i na szczęście nie było takiej potrzeby. Zniknęła gdzieś naga żarówka pod sufitem, rozplynał się beton podłogi i drewniane półki z kaskami strażackimi. Rozbrzmiała muzyka, zrazu znajoma, grana na skrzypcach i akordeonie, lecz powoli jej strumień zaczął podmywać zapadającą się gdzieś jawę i porywać w nieznanym kierunku. Gdy wreszcie przyszła pora na sedno, nie było już czemu się dziwić. Nurt, w którym wszyscy płynęli, pochłaniał ogarniającym tańcem rytualnym. Każdy gest miał swoje głębokie znaczenie, otoczony transowym brzmieniem wydobywanym z nieznanych instrumentów. Grali, śpiewali i uczyli tańca Serbowie. Uroczyści, trochę ceremonialni, budzący szacunek swoim dostojnym podejściem do spraw pozornie zwyczajnych. Zarówno ci młodzi, jak i starcy, przyjechali tu do nas, aby przy dźwiękach grających tykw wydobyć gdzieś z naszej podświadomości prawdę obrzędu. Wir wciągał w przeszłość poza historią. Tu już nie dało się myśleć o „etniczności”, o „korzeniach”, choć niewątpliwie chłodny znawca tematu mógłby wywieść coś mądrego, lecz nie było na szczęście takiego w pobliżu. Powstał pomost łączący z tamtą stroną nawet tych, co nigdy nie byliby w stanie uczenie wyjaśnić „powiązań kulturowych”. Brak słów na opisanie tego, co się wówczas wydarzyło w węgajckiej remizie strażackiej. Obraz chłodnej nocy, kalejdoskop wydarzeń mieszczących się w dziwnie niewielkiej przestrzeni stał się wstrząsem, który uwolnił ostatecznie. Niesamowite miejsce — ktoś powiedział. Tam nawet dwudziestostopniowy mróz nie potrafił przeszkodzić w grze na skrzypcach podczas kolejnych tańców, tym razem szkockich.

Niestety niska zimowa temperatura odstraszyła stary sfatygowany samochód, który z trudem zniósł wcześniejsze *Opowieści kanterberyjskie* w wersji polskiej i szkockiej, wystawione w enklawie otoczonej rozszalałym mrozem. Chronologia wydarzeń zaczęła już się zacierać w kolejno napływających falach, niewątpliwie stało się jedynie tylko powolne wydobywanie z kokonu skrępowanego od lat umysłu, a wraz z nim i ciała. Wątpliwości odpadały jak warstwy z cebuli i wiele rzeczy stało się oczywistych. Wszelkie wywody intelektualne przestały już mieć znaczenie. W tym teatrze było życie prawdziwe, ta istotność, którą znał każdy kuglarz bawiący gawiedź na rynku średnio-wiecznego miasteczka, każdy skryty za maską aktor parę wieków przed Chrystusem, a także istniejący już poza historią mag, odganiający zaklęciami zło i tańcem opowiadający pobratymcom ich wielkie dzieje. To było wszędzie: w sali teatralnej, w remizie, w rozmowach, w ogniu płonącym w kominie, w papierosach wypalanych przed stodołą, w kawie i herbacie parzonej gdzieś w trakcie czegoś, a przede wszystkim w tańcu, który był wszystkim — zabawą, opowieścią, wiarą, nadzieją i miłością. Wszyscy byli widzami i aktorami, ale nikt tego nie reżyserował. To nie był happening, to nie był wyglup napijących się z wysiłku artystów, pragnących za wszelką cenę przy wtórze

bełkotliwych manifestów zaznaczyć, jak kocur, swoje miejsce w sztuce post-. Naturalność tego, co się działo w Węgajtach, była porażająca w swej oczywistości. Przestały już męczyć pytania o klucz do tego świata. Do niego można po prostu wejść, tak zwyczajnie i naturalnie, a wszystko poza tym stanie się nieważne. Wtedy wszystko wypełni się nagłymi olśnieniami, oszałamiającymi swoją prostotą migawkowymi kadrami, które utkwia w oczach na zawsze.

Zapamiętany na marginesie węgierskiego śpiewu piękny obraz tańczących kobiet, o bałkańskiej rytualności, archaiczny w swej obrzędowej zabawie, napelniony transem dostojności i radością spontaniczności. Innym znów razem, po wypełnieniu świata jesienną melancholią, spotkanie na polnej drodze, w osaczającym zmroku, z Trzema Niewiastami niosącymi swoją radością niemal ewangeliczną nadzieję... Te chaotyczne wzruszenia nie-możliwe byłyby bez magii Miejsca, w którym nie ma spraw nieważnych, a wszystko staje się istotnym znakiem nadającym sens twoim błędzeniom.

*

Dalszy ciąg nieuchronnie musiałby zamienić się w kronikarski zapis wydarzeń węgajckich, a przecież chodzi o odpowiedź na wszystkie dręczące pytania. Zupełną oczywistością wydało się czyjeś westchnienie:

— *Dobrze, że jest na świecie takie miejsce jak Węgajty!*

Trzeba więc tylko zapytać, dlaczego? Czy zbłąkanych jest więcej? Może chwila zastanowienia nad własną biografią coś wyjaśni i pozwoli na włączenie się w korowód ludzkich losów? Może wreszcie będzie można odetchnąć, widząc płataninę — bardzo podobnych w gruncie rzeczy — dróg?

*

Koneserzy teatru mówią o eksperymencie, nowej formie, poszukiwaniach... Roztańczeni oberkiem czy kujawiakiem czują witalność wsi i nasłuchują konkretnych obrzędów... Wszyscy myślą o folklorze, o tradycji miejsca, o poszukiwaniu korzeni tam, gdzie się żyje. Dla mnie filozofia Węgajt jest inna. Gdy się zamieszkało w przestrzeni, gdzie nie ma już nikogo, kto mógłby opowiedzieć o wczoraj, nie można myśleć o historii konkretnego miejsca. Myślę tu nie o historii spisywanej, istniejącej gdzieś w archiwach, może zapomnianej chwilowo, ale możliwej do odtworzenia przy odrobinie cierpliwości. Myślę o tym kawałku przeszłości, który tkwi w płocie, starej desce czy innym zwykłym przedmiocie. Dopóki wysłużona łyżka przypomina nam ojca lub pradiada, dopóty istnieje sens miejsca, istnieją korzenie, pulsuje otaczająca nas przestrzeń. Gdy nie ma już ludzi stąd, nie ma też historii miejsca. Etnografia badająca wyłącznie nieżywe przedmioty jest jałowa. Potrzebni są świadkowie.

Dlatego Węgajty mogłyby być wszędzie, ich korzenie tkwią gdzie indziej, chyba znacznie głębiej. Jak u Vincenza — w prawdzie starowieku. W tych przepastnych głębiach górskich, skąd wypływa woda, gdzie Foka Szumejowy szukał pępka świata. Węgajty nie nawiązują do konkretnego folkloru, nie grają tej czy innej ściśle określonej muzyki, nie prowadzą systematycznych badań naukowych nad tym czy też innym regionem. Z drugiej strony zdecydowanie nie tworzą „ponadregionalnej” cywilizacji new age! To wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane i trudne do zwerbalizowania. Tak jak poszukiwacze ropy naftowej nawiercają ziemię w wielu punktach, tak Węgajty, zanurzając się w najróżniejszych tradycjach, sięgają w otchłań poza historię odnajdując wspólne korzenie człowieczeństwa. Wrażliwych wyniki przejmują dreszczem. Bo korzenie są wszędzie. To nie jest odgrzebywanie lokalnego folkloru, to nie jest odwoływanie się do konkretnego obszaru. To jest świat dla ludzi nie mających swego miejsca. Świat dla zagubionych pod koniec wieku, dla tych, którzy utracili swoją ziemię.

Jeżeli nie chcesz pędzić jak szalony przed siebie nie wiadomo po co, to tak naprawdę nie ma dla ciebie wolnej przestrzeni. Nie możesz się przyznać do tego, że masz czas dla drugiego człowieka. Jeżeli go masz, to jesteś nierobem i nie masz pieniędzy, a jak nie masz pieniędzy, to nie masz przedmiotów, nie uczestniczysz w wielkiej rywalizacji, w wielkim wyścigu, wymyślasz się wszelkim miarom, nie można się z tobą porównać, nie istniejesz... Gdzie więc masz się podziać, jeżeli myślisz i czujesz?

Na mitologicznej huculszczynie Vincenza, w ukochanym Beskidzie, w stepie ukraińskim... Każdy, kto chce, może tu wpisać swoje miejsce utracone, a w Węgajtach odnalezione wraz z prawdą starowieku.

*

Niedawne olśnienie! Mądry teolog niemiecki Blumenberg przedstawia to w postaci metafory wzburzonego oceanu, jako losu dzisiejszego człowieka: statek opuścił port, kotwice podniesiono, trapy zdjęto i nie ma, i nie będzie już powrotu do zacisznego portu. Statek nie ma steru ni kapitana, raczej dryfuje niż płynie dokądkolwiek. Plany zagubione, mapy spalone, załoga skłócona. To metafora dzisiejszego świata. Są tacy, którzy próbują statek zawrócić, ale to bezskuteczne. Inni, zorientowawszy się w sytuacji, w panice rzucają się na tratwy i łodzie próbując się ratować. [...] Załoga połapała się, że coś nie tak, że statek nie ma steru i grozi zatonięcie lub zatopienie się w przestworzach oceanu. Desperaci rzucają się więc na tratwy i łodzie, by szukać kawałka lądu. Na statku gra orkiestra i grać

będzie do ostatniej minuty, jak na tonącym Tytaniku. Występują różnej maści kłowni i cyrkowcy, krzykiem i jazgotem próbując zagłuszyć powagę sytuacji. Złorzeczą uciekającym, miotając na nich przekleństwa, wyzwiska i groźby. Tak płynie statek Blumenberga.

Słowa te napisał Włodzimierz Pawluczuk po latach badań nad fenomenem Wierszalina, po latach poszukiwań prawdy, po próbach zrozumienia fenomenu Proroka Ilji, marzącego o budowie tratwy ratunkowej dla niepokodzonych ze światem, który zatracił swój kołowy rytm narodzin i śmierci. Ze światem, który wyrwał się z odwiecznej naturalnej swobody zwyczaju odziedziczonego po praojcach i ruszył w oszalały wyścig. Światem, który stał się niewolnikiem nieznanej do wczoraj osi czasu.

Proroka Ilji już nie ma, po Stolicy Świata niewiele zostało... Reportaż Pawluczuka przeraża swoim finałem.

Bohaterami końca wieku są zawiedzeni i wątpiący. Począwszy od Husserla i Grotowskiego, a na bohaterach Wierszalina skończywszy. Ci, bez wątpliwości i wahań, tylko udają pewność siebie. Gromkim wrzaskiem i wybuchami bomb próbują zagłuszyć swe wątpliwości. Wiedzą przecież lepiej od nas, że statek nie ma sterów, i mapy zagubione. Faktycznie wszyscy w mijającym wieku ponieśli klęskę, nikomu się nie udało.

Czy Węgajty też przegrają?

Koniec wieku zbliża się w tempie zastraszającym i chociaż rozsądek podpowiada, że naprawdę nic się nie wydarzy, to serce nie daje spokoju. Nie możemy już żyć jak dotychczas. Czy Węgajty są utopią? Odpowiedzi chyba nie uzyskamy...

Grzegorz Kumorowicz